

Kazimierskie wspomnienia chłopca z Moselle

Słowami można zniszczyć wspomnienie, ale nie piękno tego wspomnienia.

Poznałem Vaudricourt w 1971 r., pod dyrekcją Bossa, wielbego ojca Olejnika. Było nas 120 uczniów w 1971 r. (zob. poniżej), 80 w 1972 r. i 40 w roku 1973, po czym opuściłem internat w 1974 r.



Poranki były przeznaczone na naukę, a popołudnia na zabawy sportowe i na inne zadania. Poznałem tam słynnego Szopena (wielbego ojca Krachulca), wielbego ojca Grabińskiego o przydomku « Pousix », wielbego ojca Malychę, brata Léona, pana Vergeot, ojca Robay, pana Kwasnika, panią Kasię i wiele innych osób (nie sposób wymienić wszystkich). Jako że pochodziłem z daleka (z Moselle), wracałem do rodziców raz na kwartał, a w czasie (krótkich) ferii, ojcowie organizowali wycieczki. W ten sposób, słynną furgonetką (tą, która służyła do odwożenia uczniów do Saint-Vaast), udaliśmy się do Londynu, do Brukseli, do Paryża, do Mont Saint-Michel. Brałem udział w zawodach sportowych: rzucałem oszczepem w kategorii beniaminków. Nigdy nie zaszedłem dalej, niż do rozgrywek regionalnych.

W czasie długiego weekendu przypadającego wokół Uroczystości Wniebowstąpienia Pańskiego, zabierano nas do Stella Plage: to jeszcze jedno wspaniałe wspomnienie. Pamiętam, że któregoś sobotniego wieczoru (w Stella Plage), znajdowali się w dużej sali i sączyliśmy jakiś syrop, i że była tam potańcówka. Miałem wówczas jakieś trzynaście lat. W pewnej chwili jakaś para dorosłych zaczęła tańczyć « slow » w nieco « gorący » sposób. Towarzyszący nam ojciec szybko poprosił nas, byśmy wrócili do swoich pokoi. Pokazuje to, jak bardzo surowe były obyczaje w tamtych czasach. Prawdą jest, że lata siedemdziesiąte były latami przełomowymi dla emancypacji obyczajów. W 1972 r. Michel Polnareff został osądzony za « naruszenie obyczajności » poprzez afisz, do którego pozował z gołymi pośladkami. W dzisiejszych czasach, czegoż to nie widzimy na plakatach reklamowych i w telewizji bez jakiegokolwiek formy wytaczania procesów sądowych !!!

W weekendy, uczniowie mieszkający w rozsądnej odległości od Vaudricourt, wracali do domu. Pozostali zostawali oczywiście w internacie. Sobotnie popołudnia były przeznaczone na prysznic. Dla tych, którzy pamiętają, dodam, że lokal ten usytuowany był w lewym końcu budynku, w którym znajdowała się świetlica. Prysznic odbywał się w wyznaczonych godzinach i gdy pechowo zdarzało się przyjść trochę późno, brakowało ciepłej wody. Ale nic to : mój kolega z klasy i ja sam zdecydowaliśmy się w takiej sytuacji na dyskretnie wdarcie się do zamku po schodach i na bezczelne skorzystanie (zdaje się, na ostatnim piętrze) z prysznica, z którego zawsze lała się strumieniami ciepła woda. Przeprowadzaliśmy tę « komandoską » operację dosyć często i nikt nas nigdy nie przyłapał.

Pamiętam również, że przez te 3 lata (od 1971 do 1974 r.), wielbny ojciec Krachulec wziął mnie pod swe skrzydła wraz z moim wspomnianym powyżej kolegą, aby zapoznać nas z tajnikami rolnictwa. Wyjaśniam : co roku prosił nas o posianie na wiosnę kukurydzy w poletku za zamkiem, a z każdym nowym rokiem szkolnym (we wrześniu lub w październiku), kazał nam zbierać tę kukurydzę ręcznie. Prawdą jest, że nas lubił, i to z wzajemnością. Co ciekawe - czyż jest to czyste dzieło przypadku ? - był on naszym nauczycielem angielskiego i nasze oceny z tego przedmiotu zawsze były wysokie !

Spowiedź w rubryce « rozrabiactwo » : Spowiadam się Bogu, gdyż zgrzeszyłem ! Ojciec, wybac mi ! Wyznaję swe winy : w niektóre sobotnie wieczory, jak wiedzą wszyscy Kazimierzanie, odbywał się seans kinowy, uprzyjemniony między innymi otwarciem butików znajdującego się obok lokalu, w którym składowaliśmy sprzęt sportowy (piłki, oszczepy, ciężarki, itd.). Butik ten prowadził wielbny ojciec Grabiński, który sprzedawał nam łakocie i lody na patyku marki Miko, przechowywane w zamrażarce. Kolegowałem się z chłopcem, którego zadaniem było sprzątanie pokoju wielbego ojca Grabińskiego (o przydomku « Pousix », dla tych, którzy go znali). Kolega ten, był jak na swój wiek (14 lat), niezłym łobuziakiem, zupełnie jak ja, i od czasu do czasu podbierał mu klucz do butików. Podczas gdy ja stałem na czatach, on zajmował się otwarciem słynnego butików celem zdobycia jednego lub dwóch opakowań Miko, którymi to delektowaliśmy się potajemnie na samym końcu parku, niczym lisy, które po uprawdzeniu kury z kurnika uczują w swej norze. Oczywiście, wielbny ojciec Grabiński nigdy o niczym się nie dowiedział i nigdy nie mógł dojść do ładu z kasą butików pod względem rachunkowym. Jest mi za to wstyd i proszę go dziś o przebaczenie. Chodzi tutaj o przypadek nietrafnego obdarzenia zaufaniem !

Dzięki Bogu, mam także inne, bardziej radosne wspomnienia, takie jak Złot w czerwcu 1972 w ramach obchodów 25 rocznicy istnienia internatu. Wielbny ojciec Olejnik był wówczas jeszcze z nami. Z tej okazji, zostałem wybrany do pełnienia roli ministranta podczas Mszy świętej celebrowanej przez biskupa, którego to miałem trzymać mitrę.

Ostatnią noc w Świętym Kazimierzu spędziłem pod gołym niebem : było to pod koniec czerwca 1974 r., było pogodnie i ciepło. Dopiero co otrzymałem świadectwo BEPC i skończył się rok szkolny. W ostatni wieczór przed moim powrotem do Moselle, krążyła plotka, że niektórzy starsi uczniowie planowali popodnosić łóżka młodszych (a ja do nich się zaliczałem) na baczność. Aby uniknąć tego typu nieprzyjemności, razem z kolegą postanowiliśmy opuścić salę sypialną i spać w parku. Faktycznie znaleźliśmy trochę siana za zamkiem i spędziliśmy część nocy w spokoju, ale nie udało się nam zmrzyć oka. Około czwartej, zważywszy, że głód zajrzał nam do żołądka, postanowiliśmy « zbiec » i udać się do Béthune, do piekarni, żeby zakupić rogaliki. Oczywiście, o podobnej porze, nie znaleźliśmy żadnej otwartej piekarni i wróciliśmy z naszej eskapady. Ze śniadaniem grzecznie poczekaliśmy na otwarcie refektarza przez Panią Kasię. Na podwórku fermowym, znajdowała się duża lipa i w przeddzień mojego wyjazdu, wielbny ojciec Krachulec pomógł mi w zrywaniu kwiatostanów. W ten sposób, wróciłem do Hayange w Moselle nie tylko z bagażami, ale i z walizką wypełnioną lipą, którą tu ususzyłem na strychu u moich rodziców. Spożywaliśmy ją przez długi okres.

Pragnę podziękować organizatorom (Bernard i Daniel Zylinski oraz Richard Kowalski) za te piękne spotkania pierwszomajowe, które przeżyliśmy w Świętym Kazimierzu w sposób braterski, przyjacielski i przyjazny, i które mnie i mojej małżonce bardzo się podobały. To prawda, że po raz pierwszy od 1974 r. powróciłem w te rozkoszne miejsca dopiero w 2008 r. Możliwość stąpienia po ziemi naszych przeszłych wyczynów była dla mnie chwilą pełną emocji. Wzbogacamy się o to, co dajemy, a biedniejemy o to, co bierzemy. Byłem bardzo szczęśliwy ze spotkania z niektórymi « starszymi », których znałem. Udana znajomość nie buduje się jedynie przy udziale dających i biorących, lecz przy udziale ludzi, którzy potrafią się dzielić. Jest rzeczą możliwą, że życie stawia na naszej drodze mnóstwo osób, abyśmy, w dniu, gdy spotkamy odpowiednie osoby, mogli je rozpoznać i docenić. Radość znajduje się we wszystkim, trzeba umieć ją wydobyć. Byłem szczególnie szczęśliwy ze spotkania z ojcem



Danielem Zylińskim, z którym miałem szczęście być w klasie, od piątej do trzeciej. Często rywalizowaliśmy o pierwsze miejsce i on był zawsze niedościgniony. Z tego nieco « spartańskiego » wychowania wyniosłem naukę, że czasami wysiłek jest dokładnie tym, czego nam w życiu potrzeba. Gdyby pozwolono nam przeżyć życie bez napotykania przeszkód, byłibyśmy ograniczeni. Nie moglibyśmy być tak silni, jak jesteśmy.

Zdjęcie klasowe : 3^o 1973-1974 - od lewej do prawej, w *kuckach* : Abbé Robay, Roman Kraly, Daniel Zylinski, Jean-Marc Geslak, *stoją* : Richard Sarzynski, Richard Poczobyt, Bernard Gmerek, Frédéric Ziec, Robin Mompach.

Życie ma smak, jaki się mu nadaje. W ostatnich latach, bardzo marzyłem, żeby powrócić do Vaudricourt : Paul Valéry mówił : « *marzenie spełnia się, gdy myśli się o nim cały czas* ».

Przez ostatnie trzydzieści lat, wiele się wydarzyło zarówno w moim życiu rodzinnym jak i zawodowym. Jestem żonaty od 31 lat, mam 3 dzieci (2 córki i 1 syna), w wieku 23, 24 i 25 lat. Od 20 lat pracuję w zawodzie księgowego w prywatnej firmie w Luksemburgu. To tyle, jeśli chodzi o nakreślenie głównych linii mojego życia. Nie zawsze było łatwo. Bóg szepcze w naszych chwilach radości, ale grzmi w naszych cierpieniach. Ból jest jego megafonem służącym do obudzenia ośpałego świata. Charles Baudelaire mówił : « *Bądź pozdrowiony, mój Boże, który dajesz nam cierpienie jako boski środek na nasze niedoskonałości* ». Z upływem czasu, nauczyłem się, że najważniejsze jest niewidoczne dla oczu, ale gdy niebo chce uratować człowieka, wysyła mu miłość.

Urodziłem się 9-go kwietnia 1959 r., w czasach największej chwały Internatu, co oznacza, że starsi uczniowie mogliby w większości być moimi ojcami. Jest tu różnica jednego pokolenia. Łatwo stwierdzić, że ogólnie wielu uczniów ze Świętego Kazimierza uzyskało dyplomy ukończenia szkół wyższych (inżynierowie, lekarze, księża, doktorzy...). Mniej zdolni mają przynajmniej pracę, która pozwala im żyć na poprawnym poziomie i prowadzą prawe i uczciwe życie. Za to wszystko należy podziękować naszym wychowawcom, którzy, w większości, pozwolę sobie przypomnieć, byli księżmi Oblatami, których podstawą moralną była wiara katolicka. Przeżyłem nadzwyczajną część życia w Świętym Kazimierzu od 1971 do 1974 r.

8 lutego 2012

Richard Sarzynski